

## Wspomnienie o Tacie.

### Marian Stężała (1935-2019).

Zmarł w nocy w środę, 20 listopada. Po długotrwałej chorobie, a w zasadzie całym ich zestawie, mając przy sobie ukochaną żonę. W sobotę pożegnaliśmy go w świątyni Wszystkich Świętych i na cmentarzu przy ulicy Agrykola.

Urodził się 9 maja 1935 roku w rodzinie chłopskiej. Ojciec Feliks był początkującym ogrodnikiem, mama Łucja gospodynią domową. Tuż przed wojną dziadkom zaczęło się lepiej powodzić – postawili sobie w Podzamczu nad Prosną dom. 1 września 1939 roku przed południem pojawili się Niemcy. Dziadek już wcześniej zniknął z domu, gdyż pochodząc z arcy-polskiej rodziny dał się lokalnym hitlerowcom (którzy szykowali się do walki jako piąta kolumna) mocno we znaki. Wszystkich mieszkańców, w tym Maniusia z mamą wypędzono do dworca kolejowego, gdzie z przerażeniem czekali na rozwój wypadków. Wieczorem któryś z wermachtowców zlitował się i pozwolił im wrócić, lecz zamiast domu znaleźli dopalające się zgliszcza. Wielu lokalnych patriotów spotkał podobny lub gorszy los. Przez kilka dni kryli się w stodole u jednej z sąsiadek aż pewnej nocy pojawił się ojciec i zabrał rodzinę do położonego o kilkanaście kilometrów dalej majątku Walichnowy, którym zaczął zarządzać Teodor Kaluza, a gdzie Feliks dostał pracę jako ogrodnik.

Poznańskie wcielono wtedy do tzw. Kraju Warty i dla mojego Taty zaczął się okres okupacji. Miał z tego czasu różne wspomnienia. Dla rodziny Stężałów spotkanie na życiowej drodze Teodora Kaluzy (reichsdeutscha – Polaka, wybitnego organizatora i hodowcę) było wielkim szczęściem. Oboje moi dziadkowie wielokrotnie padali w tarapaty, a Teodor wyciągał ich z wielkich kłopotów – nawet z Gestapo. Dzieciństwo, choć ubogie, było dość szczęśliwe, bez rodzinnych tragedii. Po przejściu frontu w 1945 roku rodzina przeniósła się do Kępna, gdzie Feliks został miejskim ogrodnikiem. Maryś ukończyła tam siedmioklasówkę, a następnie poszedł do gimnazjum, gdzie dał się poznać jako zdolny humanista. Tam też wpadł w tryby komunistycznej maszyny, która znacząco wpłynęła na jego późniejsze wybory.

Maturę zdał bardzo dobrze, ale nie dostał się na wymarzony uniwersytet, gdyż władza dopatrzyła się w postawie jego i rodziców odstępstw od obowiązującej linii. Dzięki poparciu kilku profesorów ze swojej szkoły udało się chłopakowi z małego miasteczka dostać na studia do Gdańska – do Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Stąd też z nakazem pracy wylądował w Elblągu.

Od 1957 roku zaczął pracę jako polonista w Technikum Mechanicznym. Mieszkał najpierw w internacie, potem w wynajętych pokojach, skąd dojeżdżał do pracy kupionym motocyklem. Dorabiał ucząc wojskowych u Nalazków czy w zawodówce na ulicy Blacharskiej, gdzie poznał najpierw moją drugą babcie Bronikę Nieczuja-Ostrowską i potem swoją przyszłą żonę – Wandę.

Ślub wzięli w 1960 i zamieszkali na Żeromskiego, u teściów. W tym czasie Marian został dyrektorem w Liceum Wychowawczyń Przedszkoli, a potem zaczął pracować w Urzędzie Miejskim jako inspektor oświaty. Z tego czasu biorą się też moje wspomnienia Taty. Człowieka surowego ale i sprawiedliwego wobec dzieci. Był zawsze bardzo zaangażowany w to co robił, często kosztem rodziny. Szykowała mu się kariera w Warszawie za cenę rozwodu (Bolesław Nieczuja-Ostrowski, jego teść był przecież wciąż elementem wrogim i podejrzanym). Mimo, że partyjny i pewnie wierzący w to, że komunizm może coś zmienić na lepsze nie porzucił rodziny ani Elbląga, co przekreśliło jego dalszą karierę. W tym czasie sporo jeździliśmy po kraju, gdy miałem 10 lat spędziliśmy dwa tygodnie w Zakopanem, gdzie nauczył mnie jeździć na nartach.

Potem było gorzej. Kilkakrotnie podsłuchiwałem rozmowy rodziców, kiedy wyrzucał z siebie to, co miał na wątrobie. To co on i nieliczni jemu podobni chcieli zrobić dla podniesienia poziomu nauczania i nauczycieli było ciągle utracane przez towarzyszy z KM i KW w Gdańsku. Po którejś z takich scysji postanowił odejść z inspektorowania i zdecydował się przejść do budującego się właśnie domu dziecka, gdzie został pierwszym dyrektorem. Pamiętam, jako nastolatek organizowane w tej placówce obozy międzynarodowe dla młodzieży polonijnej. W 1976 pojechaliśmy do Warszawy i tam namawiałem go na pójście na koncert do Kongresowej. Nie wiem jakim cudem, ale załatwił bilety na występ MUD.



Jako licealista miałem dość dużo luzu, choć zawsze przestrzegałem narzuconych reguł, jak czas powrotu do domu. Potem przyszedły moje studia i własne wybory, także polityczne. Ja trzymałem się prawej strony i od czasu do czasu wchodziliśmy w spory ideologiczne, obaj ucząc się szanować poglądy oponenta. Potem ożeniłem się, rozpocząłem własną pracę i wyprowadziłem się. Tym niemniej co tydzień odwiedzaliśmy się na obiadkach – raz u Rodziców raz u nas. Tato zaczął pracować w Bibliotece Pedagogicznej a potem w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym. Po 1989, już na emeryturze otworzyli wraz z mamą mały biznesik – sprzedawali podręczniki w mieszkaniu przy Chrobrego. Pewnie i z połową Elbląga zaopatrywała się tam stojąc cierpliwie w kolejkach. Tato był przy tym świetnym organizatorem i planistą (znaczną część wykonania spadała na barki innych). Jeździli z kiermaszami po szkołach elbląskich i w regionie, za książkami robili wypadki nie tylko do Gdańska czy Olsztyna ale i do hurtowni w Warszawie, Łodzi czy Krakowie. Tam można było nabyć podręczniki dla unikalnych klas liczących po kilku uczniów. W sezonie sprzedaży, mimo wieku i coraz słabszej kondycji Rodzice pracowali po 20 godzin na dobę.



Wielką pasją Taty był sport. Jako nastolatek biegał i boksował, uwielbiał jeździć na rowerze i na nartach. Był też zapalonym kajakarzem ( w czasie spływu po Brdzie mało się nie utopiłem – wyciągnął mnie spod przewróconego na rzece pnia) i żeglarzem. Lubił też motoryzację. Jako nauczyciel i inspektor oświaty był zapalonym brydżystą i zdobył nawet tytuł wicemistrza Polski. W późniejszym okresie czasu przerzucił swoje zamiłowania na ogródek przy Domu Dziecka, gdzie postawił szklarenkę. Ileż to razy jeździłem z nim po okolicach Elbląga by zbierać krowiaki, które wykorzystywał do nawożenia pomidorów. A ile taczek ziemi przewiozłem czy arów przekopałem!

Kilkanaście ostatnich lat to coraz częstsze pojawiające się choroby. Ostatnie lata to ogródek, obsesyjne zbieranie jabłek, z których mama robiła dziesiątki słoików przetworów. I widoczne objawy zbliżania się końca.

Nie był łatwym człowiekiem. Wymagał wiele od innych bo i od siebie wymagał jeszcze więcej. Ale zawsze byłem pewien jego bezwarunkowej miłości i wsparcia. Tego zresztą doświadczyli jego uczniowie i wychowankowie o czym świadczą wyrazy sympatii okazywane Tacie. A teraz ON czeka na swoich najbliższych u Pana.

